

FRYDERYK HRABIA SKARBK.

(Dalszy ciąg).

II.

Na polu literackim, trzema drogami postępując hr. Fr. Skarbek, pozostawił świetne ślady swojego przejścia, jako pisarz dramatyczny, powieściopisarz i poważny historyk. W tych teraz kierunkach, będziemy badali jego prace i zasługi.

Wstąpienie na pole dramatyczne hr. Skarbka, było raczej przypadkowe, aniżeli wpływem wewnętrznego usposobienia i natchnienia. W roku 1827 czy 1828, towarzystwo prowincjonalne przybywszy do Warszawy, wyjednało sobie pozwolenie do dawania widowisk w małym teatrzyku Dobroczynności na *Krakowskiém przedmieściu*. Publiczność, samym powabem nowości wabiona, zbierała się tłumnie, a dyrekcya ówczesnego teatru narodowego, wpadła na myśl utrzymania stale teatru małego, który dziś pod nazwą *Rozmaitości* istnieje. Zatrzymano z trupy prowincjonalnej kilku artystów i dwie czy trzy artystki zdolniejsze, reszty dopełniła *Szkoła dramatyczna*.

Otwarcie tego teatrzyku, obudziło niezwykły ruch literacki: młodzi pisarze na wyścigi zaczęli zasilać utworami dramatycznemi tę scenę. Dominik Magnuszewski dał dwie komedye pięknym napisane wierszem: *Stary kawaler* w jednym akcie (1828 r.) i *Zdziśławo, czyli skutki płochości* w dwóch aktach (1829 r.). Konstanty Gaszyński, F. S. Dmochowski i Borys Halpert, zapelniali repertoar, który najwięcej ubogacił hr. Skarbek. Sam młody i pełen zapału stanął na czele dwóch pierwszych, jako uczniów swoich z uniwersytetu. Małe jego sztuczki, jak wyborny *Popas*, *Nieproszeni goście*, *Biuraliści* i wiele innych, zalecających się dowcipem jak i szczęśliwie pochwyconą charakterystyką przedstawionych postaci, wywoływały zasłużone poklaski dla autora i artystów wybornie oddających powierzone sobie role.

W ośmnaście lat, od pojawienia się pierwszej sztuki hr. Skarbka w 1829 roku, *Popas*, na teatrze Rozmaitości, wydał zbiór swoich utworów dramatycznych w Warszawie we dwóch tomach p. n. *Teatr Fryderyka hr. Skarbka*.

Z dwudziestu pięciu sztuk grywanych od owiej doby, pomieścił w nim tylko trzynaście, a więc mniejszą połowę, pominał zaśmniejsze komedye i komedyo-opery, dla teatru Rozmaitości pisane, które bądźto dla czasowych i miejscowych okoliczności, bądź téż z powodu trafnej gry artystów, względnego przyjęcia doznały.

Cały zbiór prac swych dramatycznych pozostawił w rękopiśmie i żałować przychodzi, że wszystkich razem nie ogłosił drukiem. Wiele bowiem z nich znalazłoby poczesne miejsce w drukowanym teatrze, a jeżeli projektowany teatr ludowy przyjdzie kiedy do skutku, te małe sztuki hr. Skarbka, mogą i powinny na nim znaleźć dobre powodzenie, bo zalecają się wiernym i trafnym przedstawieniem ludowych typów i mieszczańskich postaci.

W roku 1830, dnia 1 lutego i tegoż roku 16 czerwca przedstawił dwie jednoaktowe sztuki: *Nieproszeni goście* i *Co głowa to rozum*.

Nastąpiła przerwa z wyjazdem jego do Petersburga, a gdy głucha cisza zaległa następnie pole literackie, hr. Skarbek za powrotem do Warszawy, przedstawił w dniu 25 stycznia 1832 roku komedya we trzech aktach: *Roztrzępany*.

Odtąd, prawie rok po roku do 1840, dawał na scenę nowe utwory, czy to dramatów czy komedyj, uważając za swój obowiązek, odżywiać ją oryginalnymi pracami.

Kiedy jednakże repertoar teatrów warszawskich, wziął sobie za zasadę, tylko tłumaczenia z obcych języków, albo faworyzowanie lichych wyrobów, zbliżonych więcej osób do sceny: hr. Skarbek usunął się od niej i ogłosił swój *Teatr*.

„Podając do druku niektóre komedye i dramy (mówi w przedmowie) na teatrach warszawskich przedstawiane, nie tańcem sobie niebezpieczeństwa tego postanowienia, bo wiem że krytyka odebrać mi może złudzenia, jakie wzbudzić mogła we mnie ich wystawa na scenie tutejszej. Powodzenie dramatycznego dzieła, niezawsze jego wartości wewnętrznej przypisać należy. Okoliczności i śmieszności miejscowe, mniej więcej trafny lub nawet zepsuty gust publiczności, talent artysty, przychyłne dłonie przyjaźni, jednają nieraz oklaski, które uwiedziona miłość własna autora, za hold dzieła oddany poczytuje. Rzadką jest u piszących, a zwłaszcza téż u dramatycznych pisarzy, ta sumienna surowość względem siebie samego, która ich od tego złudzenia ochronić i zdrowy sąd o własnych dziełach wydać pozwala. Lecz jeżeli raz poważyli się wystąpić przed sądem widzów, uwiedzionych czasem powabem samej scenicznej wystawy, trzeba żeby mieli odwagę wystąpić także przed surowszy i sprawiedliwszy sąd krytyki, która, nie pod wpływem przedstawienia, lecz po naukowym rozbiorze

dzieła, wyrok swój wydaje. Dopelniam tego obowiązku w przekonaniu, że musiałem zachować zasady dramatycznej sztuki, i dać w usta osób działających w komedjach moich, język jakim mówią w zwyczajnem pożyciu osoby, których one mają być obrazem”.

Krytyka sumienna dziś wyrzec może, że z całego *Teatru* hr. Skarbka, trzy tylko komedye są wysokiej wartości, pokazujące rzeczywisty w autorze talent dramatyczny, obok których inne porównania nawet wytrzymać nie mogą.

Układ ich sceniczny wyborny, dialogi pełne prawdy i prostoty artystycznej, którą w tak wysokim stopniu umiał rozwijać Józef Korzeniowski. Myśl przewodnia piękna i szlachetna, słowem wszystko składa się w tak udatną harmonijną całość, że te utwory do ozdób literatury dramatycznej polskiej policzyć możemy. Znać w nich głębszy rozmyślenie, rzetelne natchnienie, przy pochwycionym szczęśliwie przedmiocie do sztuki i rozwinięciu we właściwych romansach. Komedjami temi są: *Zofia Przybylanka* we trzech, *Popas* w jednym i *Laura* w czterech aktach.

W dziejach teatru polskiego, jak się tylko samodzielna sztuka dramatyczna u nas zaczęła rozwijać, widzimy na scenę wyprawdane rozmaite ludowe postacie.

W starych *Dyalogach* występują sołtysi i klechy: w najznakomitszej komedyi *Piotra Baryki* z czasów Władysława IV: *Z chłopa król*, głównym bohaterem sztuki jest chłopiec.

W końcu XVIII wieku twórca teatru polskiego, Wojciech Bogusławski, w słynnej operze swjej: *Krakowiacy i Górale*, wywołał na scenę i dziarskich z powieśla mieszkalców, i wysmukłych górali tatrzańskich.

Spokojniejszego charakteru przedstawia hr. Skarbek karczmarza *Szóstaka* z Mazowsza, i jego rezolutnej żony: *Chłopski rozum*, daje tu naukę małżeństwu z najwyższej sfery społeczeństwa naszego, i przeważnie wpływa na ich pogodzenie, wezwili, kiedy się na zawsze rozdzielić już mieli. Po stanowczém w domu zerwaniu, pani hrabina udaje się do Warszawy, dla uzyskania rozwodu; wysyła więc naprzód swego kucharza, ażeby w karczmie przydrożnej, gdzie wypadał właśnie popas koni, przygotował jej obiad.

Kucharz Józef przybywa, staje przy kominie, ale w karczmie niczego niemożna dostać. Gospodyni pani Małgorzata z rodzaju czupurnych niewiast, lubiących zawojowywać mężów, wysyła swego *Szóstaka* na wieś po skupienie potrzebnych przyborów do obiadu, i dowiadyuje się, że młodzi małżonkowie się rozdziaili. Pyta więc zaciekawiona:

— Proszę wasana, cóż to jest, kiedy się to państwo rozwiodą?

JÓZEF.

Co? Zwyczajnie, nie żyją z sobą: jedno sobie bierze żonę inną, drugie męża; majątki sobie nawzajem oddają.

MALGORZATA.

A jeżeli mają dzieci, do kogóż one należą.

JÓZEF.

A, to od zgody zawisło.

MALGORZATA.

Od zgody? co wasan mówisz? Biedne te dzieci, to nie wie kogo słuchać: jeśli pójdzie za matką, to zapomni o ojcu; jeśli pójdzie za ojcem, to zapomni o matce.

JÓZEF.

A to dlaczego? Mogą widywać swoich rodziców nawzajem.

MALGORZATA.

Eh! gdzie tam, to już nie tak, jak kiedy pospołu siedzą. To to gniewając się, nieraz zapewne przy dzieciach, jedno na drugie co złego powie: a jak to ma ta dziecina szanować matkę, kiedy usłyszy że ojciec źle o nią mówi? Już to niedobrze, kiedy dzieci o rodzicach źle rozmawiających słyszą: same wnet powtarzają co usłyszały. A potem proszę żądać po nich posłuszeństwa pokory. Nie, nie, to głupstwo te rozwody.

JÓZEF.

Prawdę mówicie matulu, prawdę.

MALGORZATA.

Lepiejto w naszym lichym stanie: pokłócimy się, pobijemy czasem, ale jak burza minie, sza, cicho, zgoda między nami, a dzieciom wara od nas, różga dla nich, jeżeli w чём które winnemu poszanowaniu uchybi. Wiesz wasan, ja rozumiem, że to te rozwody niby zaraza morowa: dzieci jak dorosną to marnują po rodzicach, bo to jabłko nigdy nie pada daleko od jabłoni.

Tymczasem do téjże karczmy wstępuje przypadkiem sam hrabia, gdy mu oś pękła u bryki: głodny i zziębnięty za przybyciem hrabiny przyjmuje ję zaprosiny na skromny obiad; pocziwy *Szóstak* wraca, i musi znosić swary swęj zbyt żywęj żony za to, że tylko ję sześć jaj ze wsi przyniósł. W prostocie swojęj zwraca się do hrabiego ażeby go przeprosić.

— Kłaniam się jegomości, przepraszam wielmożnego pana że u nas niczego dostać nie mozesz, bo my tu niedawno nastali, a teraz taki mróz, że niczego u ludzi nie dostanie, a to com przyniósł, to już kucharz tęg pani dla siebie zamówił.

HRABIA.

Wasza żona coś okrutnie nad wami przewodzi?

SZÓSTAK.

Ha! zwyczajnie kobieta, aby gadała i fukała.

HRABIA.

Ale to nietrzeba dać góry brać nad sobą żonie.

SZÓSTAK.

Toćby to nietrzeba, prawda; ale kiedy inaczej pokój w domu być nie może, to lepiej milczeć i słuchać, aniżeli się swarzyć. Kobieta wrzeszczy, fuka, ale musi robić, co do niej należy; jest ona tak jak młyn: póki wody starczy, to miele; tak też i ona gada, gada, póki słów starczy, a ja słucham, bo mi to nic nie szkodzi.

HRABIA.

Jabym się łatwo zniecierpliwił, gdyby tak żona nademną przewodzić miała.

HRABINA (do siebie).

Wierzę bardzo.

SZÓSTAK.

Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, ale tak pan mówi, bo pan młody i nie wie zapewne co to jest żona, i że spokojność w domu lepsza od wszystkiego.

HRABIA.

Prawda...

SZÓSTAK

Gdyby téżto wielmożny pan miał żonę, którejby się czasem coś przywidziało, coby pletła trzy po trzy; bo przepraszam państwa, to się każdej kobiecie przytrafić może, choć i między państwem.

HRABINA.

Jakże nam pochlebia...

SZÓSTAK.

Gdyby mówię, kiedy żona pańska, tak jak to niby moja rozprawać miała; cóżby panu z tego przyszło, gdyby się pan miał z nią kłócić i jej się sprzeciwiać? Onaby jednak zawsze przy swoim obstawała.

HRABIA.

Tak, tak, dobrze mówicie. (na stronie):
Niechła pigułka.

HRABINA.

Rozgadał się widzę pan gościnnie.

SZÓSTAK.

Gdyby się pan, mówię, z nią chciał kłócić, toby ona jeszcze gorszą była: i cóż z tego dobrego? Oto (*ciszéj do hrabiego*), byłoby to jak z tą panią, co tu siedzi, co się z mężem o jakieś bzdury posważyła, i teraz do rozwodu jedzie.

HRABIA.

Doprawdy?

SZÓSTAK.

Tak, tak; o marne podobno słowa, rozstaje się z mężem, jak nam jój kucharz powiedział.

HRABINA.

Zdaje mi się, że tam o mnie mowa.

SZÓSTAK.

Ale bo téż to jój mąż musi być jakiś dziwak.

HRABIA.

Zkądże ci się wzięło? Któż ci to powiedział?

SZÓSTAK.

Nikt mi tego nie mówił, ale ja się tak domyślam: oto się spytam téj pani, zobaczy pan dobrodziej. (*do hrabiny*):

Za przeproszeniem wielmożnej pani, oto ja mówiłem do tego pana, że mąż wielmożnej pani, musiał być wielkim dziwakiem, że się mógł z tak piękną panią pokłócić, i że się ma z nią rozwodzić, jak nam to kucharz pani powiedział...

HRABINA.

Nie, dziwakiem nie jest... bynajmniej... (*na stronie*). Na niego kolój, będzie miał za swoje.

SZÓSTAK,

Wielmożna pani musisz być bardzo dobra, kiedy się za nim ujmujesz: bo choćby téż pani miała mu co przymówić przez żywość...

HRABIA (*do siebie*).

To dla niej.

SZÓSTAK.

To on powinien był ustąpić, jako kobiecie.

HRABINA.

Widzę, że o wszystkich kobietach po swojej żonie sądzisz, panie gościnnie.

SZÓSTAK.

Takcito, za przeproszeniem wielmożnej pani, wszystkie zda mi się są do siebie podobne. Moja żona dziś krzyczy, ja słucham:

czasem ja téż trochę w czub naleję i krzyczę: to ona znów słucha. Jedno drugiemu musi wybaczyć, bo inaczej niemożnaby siedzieć pospołu.

HRABINA I HRABIA (razem).

To prawda.

Te słowa pełne prostoty sędziwego karczmarza, stają się zdrowym pokarmem duchowym, dla młodego małżeństwa, i z pod tego poddasza słomianego, gdzie się spotkali w zawziętości, wracają do opuszczonego swego domu w zgodzie i miłości.

Większych rozmiarów jest prawdziwą w całym znaczeniu tego wyrazu komedią, *Zofia Przybylanka*, we trzech aktach. Hr. Skarbek wybornie w niej nam maluje i wyższe towarzystwo z czasów Stanisława Augusta, i stawia w wiernej charakterystyce, wybitne postacie ludowe, z rzemieślników warszawskich (1).

Pani wojewodzina ma syna jedynaka, który z miłości poślubił piękną Maryą. Ale jako pan bogaty, i jak w owe czasy, wszyscy z jego sfery w próżniactwie trawiąc życie, szuka sobie poza domem rozrywki, niebacząc że nią może zakłócić pokój domowy, i zatruci życie, szczęśliwej dotąd małżonki. Dowiedziawszy się od ulubieńca swego, maszalerza Urbana, o cudnej urodzie *Zosi Przybylanki*

(1) Fr. hr. Skarbek po wydaniu swego *Teatru*, posłał egzemplarz b. generałowi i znakomitemu poecie Franciszkowi Morawskiemu. Przywiedziemy tu ustęp z jego własnoręcznego listu pisanego do autora (Lubomla 2/3 1858 roku), w którym daje swój sąd o *Zofii Przybylance*. „Otrzymałem książki obiecane mi łaskawie. Jeżeli hrabia dozwolisz użyć ich Redakcyi Przeglądu Poznańskiego, aby o nich zdała sprawę, a razem wytknęła tegoczesnym autorom i krytykom, zamilezenie zupełne o dramatycznych dziełach pańskich, wspomniawszy tylekroć Bogusławskiego i Dmuszewskiego nawet: nie jest do pojęcia, chyba że dawne zasługi, nadto są rażące dla młodych pokoleń, bo inaczej tego wytłumaczyć niemożna. Odczytałem *Ilustrzapanego*, który jako charakterystyczna komedia, powinienaby najbardziej zająć uwagę krytyka. Według mnie, charakter trafnie schwyciony, lecz konieczność sytuacji, niekiedy do niższego rzędu śmieszności się zbliża. Czytałem i drugą sztukę, i ta mnie wiele zajęła, bo oryginalna zupełnie, bo interes ciągle rośnie: rzecz z łatwością osnowana, naturalne rozwiązanie, i charakter głównej osoby doskonale odrysowany, wysłowienie się nawet różnych stanów osób, bardzo trafne i przyzwoite; nawet sam przedmiot zbyt drażliwy, pokryty ile tylko być mogło *przystojnością*. Może pan ani domyślisz się że mówię o *Zofii Przybylance*, która mi się nadzwyczaj podobała. Nie wiem która z tych dwóch sztuk traci, a która zyskuje na przedstawieniu na scenie, bo jak pan słusznie mówisz w swojej przedmowie, powodzenie sztuki od rozmaitych przyczyn zależy. Losy tak chciały, abym nie był ani razu w Warszawie wtenczas, gdy sztuki pańskie grane były. Nie mogłem więc sądzić o ich efekcie na teatrze, i porównać wrażenie sceniczne, z wrażeniem z samego czytania powziętym”.

córki majstra kunsztu szewskiego, przybywa do *jatek* w jego towarzystwie, gdzie był główny skład obuwia, i oczarowany jej urodą, zapoznaje się z młodą dziewczęciem. Z podziwieniem wszakże niemałym, znajduje w Zofii zdrowy rozsądek, pogląd wyższy na stosunki światowe i wykształcenie, w pełnych prostoty odpowiedziach.

Widząc że tu nie tak łatwa sprawa, tegoż masztalerza Urbana używa za swoje narzędzie, który udając zakochanego w Zofii, porzuca pozornie służbę u wojewodzica, i u starego *Przybyły* zaczyna praktykę szewca.

Zbliżony tym sposobem do Zofii, rozkochał się w niej naprawdę, a wiedząc o ułożonym planie swego pana, który go po ślubie z młodą dziewczyną, ma zaraz wysłać do swoich dóbr na Ukrainę, a sam pozostać przy młodej mężatce, wpada w rozpacz, i nie może znaleźć dla siebie rady skutecznej.

Na dworze wojewodziniej jest podstarzała *Podstolanka* panna *respektowa*, a jako stara panna ciekawa i lubiąca śledzić roman-sowe przygody, szpiegowała zabiegi wojewodzica i uwiadamia ją o zalotach jej syna do pięknej szewcówniej. Stara matrona, nie widzi nic naganego w tém że Staś jej chce się zabawić, ale niezręczność jego ją dziwi, że może o tém dowiedzieć się żona. *Podstolanka* tymczasem sprowadza pod pozorem zakupu trzewików Zofię do pałacu wojewodziniej, a synowa jej poznaje w *Przybylance* towarzyszkę swą z pensyi u Sakramentek.

Gadatliwość *panny respektowej* i przybyłego Urbana, objaśnią ją o zamiarach jej męża, ale szlachetna zarówno jak rozumna niewiasta, nie chce w tém postępowaniu wojewodzica, widzieć występnych zamiarów, jedynie wspaniałomyślność jego w wynagradzaniu wiernych usług swego masztalerza.

Zofia rozumiejąca dobrze swoje stanowisko, polubiwszy rzeczywiście poczciwego Urbana, który ją serdecznie ukochał, chętnie mu oddaje swoją rękę; stary *Przybyła* rad błogosławi ten związek, a wojewodzie schwytyany na gorącym uczynku, chętnie popierając zacne zamiary swej powabnej małżonki, zyskuje u niej przebaczenie, i uroczyście przyrzeka poprawę, wróżąc sobie nawzajem, przyszłe szczęście niezamącone niczém.

Jest to utwór, który doskonale maluje i zepsucie klasy wyższej w epoce poloru francuzkiego, i zacność i moralne obyczaje w Warszawie rzemieślników warszawskich. Rozpustę syna chętnieby pani wojewodzina tolerowała, aby te wybryki, pozornie umiał ukrywać. Dla niej uwiedzenie młodej szewcówniej, dziełczyny z gminu, na uwagę nie zasługiwało, kiedy mogło dogodzić żądzy ukochanego jedynaka.

Takie postacie magnackich rodzin, przeważały na tle owoczesnego dworu Stanisława Augusta i dworów panów. Dostojne panie albo nie tały się wcale z rozpustą, lub przykrywały ją lekką a przejrzystą zawsze gazą. Tylko po skromnych dworach szlachty, i w pracowitej klasie rzemieślników, miałeś matrony zacne.

dziewice skromne i cnotliwe małżonki, które pomimo zepsucia płynącego szerokim strumieniem z góry, potrafiły przy domowém ognisku, uchować dawne rodzinne cnoty!

Układ cały komedyi artystycznie pomyślany; sceny rozwijają się naturalnie; nic tu nie masz naciągniętego, a dyalogi doskonale odpowiadają czy to postaciom zajmujących *jatki* z obuwiem, czy wspaniałe komnaty pałacowe. Myśli jak i uczucia, ożywiające je, odzwierciadlają się wiernie w tych dyalogach.

W komedyi czteroaktowej *Laura*, przenosi nas hr. Fr. Skarbek, w świat salonowy, do którego sam należał i znał go dokładnie.

Hrabia żeni się z piękną i powabną Laurą, córką zamożnego ziemianina, a będącą narzeczoną Wacława, człowieka prawego i godnego szacunku. Jakkolwiek wychowana starannie i w zasadach prawdziwej moralności, zaślepiona tytułem świetnym i bogactwem, spełniając gorące życzenia swych rodziców, po lekkim wahaniu, porzuca tego, któryby jęj szczęście domowego ogniska na całe życie zapewnił i przeniósłszy hrabiego, zamienia z uśmiechem radośnym próżności, skromny dwór rodzicielski, na wspaniały pałac.

Z początku olśniona bezustannie zabawami, w tój atmosferze woni kwiatów i pachudeł, otoczona hołdownikami jęj wdzięków, zdaje się szczęśliwą; ale było to tylko zwodne mamidło, gdy bliżej poznaje charakter swego męża. Ten bowiem, przesycony światem, i powabami niewieściami, pragnie nabyć znaczenia w świecie, przez uzyskanie wysokiego urzędu. Ta żądza była teraz jego marzeniem, i na jęj spełnieniu zakładał najwyższe swoje szczęście.

W domu hrabiostwa częstym jest gościem *szambelan*, człowiek zajmujący wysokie stanowisko, mający liczne stosunki i mogący mu dopomódz w jęgo zamiarach. Ujęty wdziękami Laury, codziennie niemal ponawia swoje odwiedziny pod rozmaitemi pozorami, mając na celu uwiedzenie jęj, bo się w nięj na prawdę zakochał. Hrabia doświadczony w tych sprawach, łatwo dostrzega namiętne uczucia szambelana, postanawia więc użyć swęj żony za narzędzie, ażeby zjednała go do upragnionych jęgo życzeń. Zaledwie zbadała uważnięj myśl męża, obrażona w swojęj godności, nie chce służyć za wabika, ale hrabia odkrywa jęj ten świat wyższy lepięj, niż go dotychczas poznała.

„Pamiętaj zawsze na to—mówi do nięj—że tutaj między nami, wcale jest co innego jak tam na wsi między szlachtą”.

Dając do zrozumienia, że frymark wdziękami mężatki za usługi żądane, nie jest podłością, ale rzeczą zwyczajną w *śmietanie* towarzyskięj.

Kiedy żądzą znaczenia przez pozyskanie dostojęństwa zajęty hrabia, zjawia się ów Wacław, dawny Laury narzeczon, który ją od lat trzech nie widział. Drżący ze wzruszenia, wspomnieniami pierwszjęj miłości, stoi nieśmiały, gdy go hrabini serdecznie pozdrawia jako dawnego przyjaciela, i ze szczeręm uczuciem a pełnëm



prostoty podaje mu rękę na powitanie, którą z zapalem całuje. Hrabia zbliża się do żony, i patrząc przez lornetkę mówi:

— Nie! to nie uchodzi!

Wacław usuwa się przerażony, a kiedy Laura pyta zadziwiona:

— Cóż takiego?

Mąż spokojnie odpowiada:

— Kolor tój wstążki źle jest dobrany do koloru sukni.

Korzysta z dobrej sposobności, a widząc że Wacław ma cug pięknych koni, mówi odchodząc do żony:

— Trzeba żebyś je widziała, bo pan Wacław jest tak grzeczny iżby nam je ustąpił, gdyby ci się podobały. (Ciszéj do niéj). Ja tobie ten interes do załatwienia zostawię. Wszak to twój dawny adorator.

Ale złą chwilę wybrał do tak nikczemnego podszeptu, bo Laura gdy pozostała sama z Wacławem, owiana wspomnieniem rodzinnego ogniska, do niego z radością ulata.

— Jakżem panu wdzięczna, mówi rozrzuwniona do niego, żeś nas przecież odwiedził: nie uwierzysz jak mi jest miło widzieć osobę, która mi dom rodzicielski i dawne czasy przypomina.

WACŁAW.

Wspomnienie lat upłynionych, jest dzisiaj jedyną moją pociechą.

LAURA.

Zostaw pan podeszłemu wiekowi taką pociechę, pan masz jeszcze życie pełne najpiękniejszych nadziei przed sobą.

WACŁAW.

Cóż mi pozostaje, po utraconéj nadziei, posiadania pani?

LAURA (z umiechem).

Co? jeszcze pan mnie nie zapomniał? prawdziwie że się tém będę szczycić: ale to nastąpi wkrótce, gdy inna serce pańskie zajmie.

WACŁAW.

Tak pani źle sądzisz o mojem sercu?

LAURA.

Nie, bynajmniej; przekonana jestem o życzliwości pana dla mnie: wiem, że nie przestaniesz być moim przyjacielem, lecz nie wierzę temu i nie pragnę tego nigdy, abyś dla mnie słodszych miał się wyrzekać związków. Byliśmy dla siebie niegdyś przeznaczeni, wola rodziców moich, inaczej losem moim rozrzuciła... Cierpiałam wiele na tój zmianie, ale czas ukoił moje zgryzoty; minęły piękne marzenia młodocianego wieku, umilkły żywsze uczucia, i dziś przestaję na tém, co mi przeznaczoném zostało.

WACŁAW.

Ach! pan! jakże to bolesną rzeczą, wyrzec się tego wszystkiego, na czemeśmy całe nasze szczęście zakładali!

LAURA.

Wierzaj mi pan, że uniesienie i żywość uczuć, szczęścia naszego nie stanowią. Spokojność duszy, zwyczajne przyjemności pożycia i ta proza życia, która nie zachwyca wyobraźni, lepszą jest od pięknych marzeń, których się nigdy spełnienia doczekać nie możemy.

WACŁAW.

Tak pani mówisz, bo czegoż ci do szczęścia niedostaje? Ale ja co nie znalazłem drugiego serca, któreby uczucia moje pojąć i dzielić chciało, nie mam czém zastąpić utraconej nadziei.

LAURA (z miłym uśmiechem).

Nie zmieniłeś się widzę wcale panie Wacławie; taż sama co dawniej żywość uczuć, też same marzenia o wzajemnej miłości, o przelaniu się dwóch istot w jedną duszę: wszakże to był twój sposób mówienia?

WACŁAW.

Pani pamiętasz jeszcze wyrazy jakich używałem, luboś o mnie dawno zapomniała!

LAURA.

Widzisz, jakiś niedobry panie Wacławie: twoje wyrzuty są niesprawiedliwe. Pamiętam, myślę często o panu, nieraz znużona gwarem pochlebstw i przekąsów, które się nieustannie o moje uszy odbijają, gdy się na chwilę na bok usunę i gdy spoglądam na towarzysztwo, które mnie otacza, ubolewam nad tém, że w niém żadnego prawdziwego nie mam przyjaciela!

WACŁAW.

I wtedy myślisz pani o mnie?

LAURA (smutno).

Wtedy... stają mi na myśli młodociane lata, wiejskie ustrojenie, miłe i wesołe zabawy nasze, i to swobodne pożycie, w którym obluda znaną nie była.

WACŁAW.

Jeżeli pani wśród przyjemności wielkiego świata, o szczęśliwych chwilach między nami spędzonych, zapomnieć nie możesz, cóż ja dopiero, który od téj chwili żadnego szczęścia, żadnej nawet pociechy nie znałem?

LAURA (wesoło).

O! nie trzeba rozpaczać panie Wacławie. Wróć się jeszcze swobodne chwile; trzeba tylko wyszukać sobie osobę, któraby serce

twoje zatrudnić potrafiła. Próżnowanie jego jest dla pana nieznośnem, i jedyną przyczyną twojój tęsknoty. Muszę ja się wdać w to, i jako dawna przyjaciółka, postarać się o przedmiot zatrudnienia dla pańskiego serca...

W tę właśnie porę nadbiega jój młodsza siostra Julia, która z urodnej dziewczynki, rozwinęła się w piękną dziewczę. Ją ma na celu, ażeby zastąpiła jój miejsce w sercu Wacława.

Hrabia, po długim oporze, skłania żonę do napisania listu do szambelana z zaproszeniem do siebie, a gdy uszczęśliwiony tak niespodzianym *rendez vous*, pospiesza na to wezwanie, spotyka Wacława w poufnej rozmowie z Laurą, i to chmurę zasepienia sprowadza na jego czoło. Rozczarowanie jego jest tém większe, gdy się przekonywa, że list ten napisała z polecenia męża, i kiedy chciał zachować na pamiątkę, musiał jój zwrócić i patrzeć jak go podarła w drobne kawałki. Daremnie hrabia przybyły w tę porę, pragnie koniecznie żonę swą rzucić w objęcia szambelana, i tym sposobem zjednać sobie jego poparcie w zamiarach swoich; szlachetna kobieta umie stawiać godny opór, i daje mu uczuć jego podłe zamiary. Ten rozjątrzony, że nie znajduje w Laurze spodziewanej powolności, podejrzywa ją o miłość dla Wacława, i daje poznać swe życzenie ażeby dom jego na zawsze opuścił, widząc w nim zapórę dla zamiarów szambelana, który swój niechęci bynajmniej nie ukrywa, do przyjaciela lat młodych hrabiny. Laura dotknięta do żywego uiegodnem podejrzeniem, czując całą niedolę swoją, gorzkimi zalewa się łzami i w takiej chwili znajduje ją siostra Julia.

— Cóż się stało kochana Lauro? tyś we łzach, a twój mąż wyszedł pełen gniewu?

LAURA (z rozpaczą).

Okazał się największym nieprzyjacielem moim, i odebrał mi możność wydobycia się z pod jego przemocy. Zatruli jadem każdą chwilę, którą obok niego mam przepędzić, i przykuł mnie do siebie najdrażliwszem uczuciem: potrzebą zachowania dobrej sławy mojej.

JULIA.

Lauro! miej moc nad sobą! twoje sumienie jest czyste, nie powinnaś ani rozpaczać, ani się poniżać.

LAURA (rzucając się w jój objęcia).

Ach Julio! nie byłaś tutaj, nie widziałas jego twarzy ogniem złości płonącej, nie słyszałaś jego wyrazów pogardą tchnących. Ty jedna tylko wiesz, jak dotąd starannie ukrywałam przed światem, dolegliwości mego małżeńskiego pożycia; ty wiesz ile ja cierpliwie znosić musiałam: ale teraz przebrana już miara cierpień moich;

związek mój stał się dla mnie nieznośnym, truchleję na samą myśl, że jestem jego żoną; (z *rozpaczą*): a jednak muszę przy nim zostać.

JULIA.

Nie pojmuję twoich powodów do wytrwania w tak nieszczęśliwem pożyciu na zawsze.

LAURA.

Nie, nie na zawsze; ta jedna mi jeszcze nadzieja zostaje: póty tylko, póki Wacław ślubów małżeńskich nie zawrze: pierwsza chwila jego szczęścia, będzie ostatnią moich cierpień.

Rozmowa ta stanowczy wpływ wywarła na postanowienie Wacława. Prosi o rękę Julii, i gdy hrabia licząc, że powagą męzowską złamie opór Laury, zaprasza wraz z szambelanem grono swoich zwykłych gości: nakazuje się tu hrabini w towarzystwie Wacława i Julii.

Kiedy zebrane towarzystwo z podziwem tak niespodziany pojaw przyjmuje, Laura daje odprawę swoim wielbicielom, a głównie téż szambelanowi, opróżnia salon, a pozostając z mężem, siostrą i Wacławem, zapytuje go:

— Czy żałujesz tych, którzy się stali przyczyną nieporozumienia między nami?

HRABIA (*żywo*).

To są moi przyjaciele.

LAURA.

Uczyn wybór między mną a niemi. Oni lub ja ztąd ustąpić muszą.

HRABIA (*z uniesieniem*).

Nie cierpię udanój skromności i przesadzonój enoty: małżeństwo każde jest niewolą, a żona o tyle tylko znośna, ile we wszystkiém wolę męża wypełnia. (*Odchodzi z gniewem*).

LAURA (*z czuciem*).

Julio! Wacławie! biorę was za świadków, że on sam wydał wyrok naszego rozłączenia. Jaśniałam czas niejaki na wielkim świecie, uwodziłam się zwodniczym jego blaskiem; dziś zachodzi słońce mego światowego znaczenia: spokojność sumienia i wasze szczęście będą moją pociechą.

Komedia ta zasługuje na uwagę bezstronnego krytyka, tak zręcznym układem scenicznym, jak wprowadzonymi do niej figurami. Jest ich nie szczupłe grono, a każda zachowuje swoją właściwą charakterystykę.

Kto zna naszą społeczność w owój dobie, z której tak rzecz jak postacie brał autor, a poprzedzają one prawie o ćwierć wieku chwilę przedstawienia téj sztuki (dnia 1-go kwietnia 1833 roku), musi mu oddać sprawiedliwość, że malowidło jest staranne, wierne, i z artystycznym talentem oddane.

Niechaj nikt nie sądzi, że takiego rodzaju domowe sceny, w *wyższym świecie*, były tylko wyjątkowe: wierny historyk téj epoki (rok 1808—1815), jakkolwiek z przykrością będzie musiał wyznać, że były częstymi pojavami, zasługującymi czy na ostrze satyry, czy na postawienie na scenie teatralnej, pod pregiertem opinii publicznej.

Społeczność nasza, po długich burzach wojennych, gdy w błogim pokoju odetchnęła, odrazu pokazuje szlachetniejsze oblicze tak przy rodzinném ognisku, jak i poza domem.

Obyczaje zyskały na umoralnieniu, wpływem powiewu nowego ducha. Zaczęto wyraźnie i po imieniu nazywać wszystko co było hańbą lub podłością, jak oddawano chętnie hołd temu, co było naszej cześci godne.

Obrazem tego przełomu duchowego jest powyższa komedia Fr. Skarbka. Laura, główna w niej bohaterka, przedstawia nam typ szlachetnej niewiasty polskiej, jak w *Wacławie* mamy godnego reprezentanta zacnej młodzieży polskiej, z pierwszych lat Królestwa.

III.

Lat pięćdziesiąt, czyli całe pół wieku przemija, jak hr. Skarbek wystąpił jako powieściopisarz, najprzód z utworami humorystycznymi, dalej obyczajowymi, i historycznymi.

Przed wszystkimi stawiamy powieści obyczajowe, a mówić będziemy o tych, które wiek XVIII i nasze stulecie obejmują.

Na czoło kładziemy: „*Życie i przypadki Faustyna Felksa na Dodoszech Dodosińskiego*,” utwór ten bowiem należy do ubiegłego wieku. Autor wprowadza nas do dawnéj szkoły w Łowiczu, i w pierwszym rozdziale wybornie nam ją opisuje.

„Na farnym zegarze biła godzina pierwsza po południu. Miasto było jak wymiecioné, nikogo na ulicy, bo jedni dla upału nie śmieli wychodzić z domów, drudzy spoczywali po obiedzie, opędzając się w drzymaniu natarczymym muchom, a studenci, najgłośniejsi mieszkańcy Łowicza, nie wybierali się do szkoły, bo mieli jeszcze całą godzinę swobodnego próżnowania przed sobą.

„Na korytarzu szkolnym, w którym się przed godziną tak huczne rozlegały okrzyki, było teraz tak cicho, że echo sklepienia powtarzało sapanie śpiącego na ławie kalafaktora, a w izbie szkolnej jeszcze ciszej, gdzie tylko uwijające się po oknach osy i muchy, jednostajny brzęk wydawały. Była to w końcu korytarza długa,

sklepiona sala, w której tylko u góry widziano ślady pierwotnego bielenia, niżej zaś w równi z ławkami, mieszały się rozmaite kolory i cienie, to wylanego atramentu, to rysunków lubryką wykonanych, to odcisków od głów codzień w jednym miejscu o ścianę opieranych.

„Między dwoma rzędami ławek niegdyś czarnych, a przez niezliczone snycerstwa i rzeźby w srokatę zamienionych, było miejsce próżne prowadzące do katedry naprzeciw drzwi umieszczonej, do owego tronu, z którego *Pater* professor, wyrocznie naukowe, wyroki dyscyplinarne, *damna i laudessy*, jako niegdyś Jowisz z Olimpu, na zaleknionych studentów rozrzucił.

„Obok téj katedry po prawej stronie, stała mała ławeczka z pulpitem do pisania, siedlisko *dyktatora*, owego pierwszego ucznia szkoły, który tę dostojność przez trafne rozwiązanie najtrudniejszej kwestyi osiągnął, i który miał przywilej wyłączny, do dziesięć razy większych pochwał czyli *laudesów*, jak wszyscy inni studenci.

„Nad rzędem ławek po jego stronie stojących, wisiała tablica z napisem: *Pars Romana* (część rzymska), a na niej summy liczbami kredą napisane, wyrażające ilość *laudesów*, przez ten oddział szkoły uzyskanych. Naprzeciw niej, nad lewym rzędem ławek wisiała druga tablica z napisem: *Pars Graeca* (część grecka) podobnie liczbami, mniżej gęsto zapisana.

„Na czele obudwóch rzędów ławek, dwie na kijach osadzone tabliczki z napisem: *Imperator*, oznaczające miejsce honorowe, pierwszego każdego oddziału studenta, który miał przywilej przewodniczenia swym współuczniom, przy każdym uroczystym pochodzie całej szkoły.

„Bliżej jeszcze na lewo przy piecu, stała osobna ławka, a nad nią nieszczęśliwy napis: *Scannum asinorum* (ławka ośła) a za nią na zapiecku stołek kalafaktora, nad nim groźne narzędzia, które leniwym i tępym rozum napędzały do głowy: płaska *placenta* do uderzania po dłoni, i łokciowy twardy kańczug, insignia nieugiętego kalafaktora.”

Obraz to dokładny wszystkich szkół pod zarządem ojców jezuitów zostających, za Augusta III-go i w początkach panowania Stanisława Augusta 1).

(1) Urządzenie wewnętrzne szkół było podobne i później u xx. pijarów, z tą różnicą, że nie było ani *Greków*, ani *Rzymian*, a w miejsce *Imperatora* w każdej klasie był *prezes, kassjer* (w jego zachowaniu był *dziennik*, w który professorowie zapisywali swe godziny i opinie o sprawowaniu się uczniów, oraz kreda i gąbka do tablicy) i *pierwszy radzca*. Były to pierwsze dostojności w każdej klasie, w każdej ławce, a szły numerami bieżącemi; z jednej strony siedział *radzca*, z drugiej *pod-radzca*. *Ośła* ławka istniała, i kalafaktor, którego obowiązek wybijac liczbę plag winnemu. Mniej tylko używano u pijarów kańczuga.

Tym nieugiętym kalafaktorem był właśnie główny bohater powieści, pan Faustyn Felix na Dodoszach Dodosiński, syn zagrodowego szlachcica. Ale prócz téj dostojności był on na usługi *Wacława* starościca, którego, gdy za bójkę zaciętą w szkole, ksiądz professor skazał na plagi, i te miał odliczyć Faustynek swemu panielcowi; skoro go ujrzał prowadzonego; „rzucił kańczug na piec, obalił stołek nogą i sam rozpychając wszystkich, za drzwi uciekł.”

Ten postępek Dodosińskiego ocalił od kary starościca, który uwolniony z *karceresu* razem z przywiązanym kalafaktorem ucieka ze szkoły.

Narada *Patrów* professorów, i ich postacie doskonale odmalowane: na niéj potrzeba surowego skarcenia i względy na ojca przestępcy, przeważając szale nawzajem, żadnego stanowczego postanowienia dać nie mogły. Tymczasem osiemnastoletni staroście *Wacław*, wraz z Faustynkiem, uchodzą coraz dalej od *Kowicza*.

W téj wędrówce przychodzi pytanie gdzie się udać, i znaleźć spoczynek: kalafaktor niedaleko wskazuje zagrodę szlachecką *Dulskiego*, który ich przyjmuje serdecznie i gościnnie, znając oddawna Faustyna, co wzdychał do jego pięknej a powabnej jedynaczki Anieli.

Uroczę wdzięki córki szlachcica, głęboko wryły się w sercu i pamięci młodego *Wacława*. Nieobojętnym i dla niewinnego dziewczęcia był dorodny staroście pojawiający się niespodzianie.

Hr. Skarbek malowniczo opisuje skromną zagrodę tego szlachcica w której pracą i rządnością, wybijał ziemiański dostatek, a wiodąc dalej dwóch swoich zbiegów daje obrazki smutne, tak opuszczonego gospodarstwa starego Dodosińskiego, jak zarazem, marnotrawnego życia Starosty, ojca *Wacława*.

We wszystkich powieściach obyczajowych hr. Skarbka, czy wieku XVIII czy z początków naszego stulecia, wybija ostre malowidło szalonej rozrzutności i marnotrawstwa, które mnóstwo rodzin szczyjących się i ogromną fortuną i starymi historycznymi imionami do nędzy przywiodły.

Zgubny ten objaw, w mistrzowsko skreślonej satyrze *Marnotrawstwo*, Krasicki uwydatnił, ale długo brano ją jako wyjątkowy ujemny obrazek. Niestety, ten pośpiech do ubóstwa i nędzy z zamożności, przepychu i bogactw, ogarnął setki rodzin jak mowra zaraza. Upadek jednych domów, nie powstrzymywał niebacznych młodych dziedziców od zgubnej rozrzutności.

Jakby technienie gniewu Bożego, rozwiewało kolosalne majątki, a wspaniałe magnatów siedziby szły w pustkowia i ruiny. Potomkowie najznakomitszych rodów, z radością opuszczali siedzibę swych ojców, i gniazdo odwieczne, uciekając za granicę, bo tam tylko a głównie w Paryżu, żyć i używać podług swéj woli mogli. Myśl ich od tych siedzib, do których z lat młodych była przykuta, ulatywawała ze wstętem, i chętnie sprzedawali za lichy grosz, bo za wartość tylko marmurów, żelaza i ołowiu swoje pa-

łace i zamki, co wieki przetrwały i przez wieki gościnne otwierały wrota (1).

Hr. Skarbek naoczny świadek tego grzechu, który krajowi ciężką klęskę zadawał, nie mógł pominąć w swoich powieściach marnotrawstwa zgubnego, co go uczuł i w swoim domu dotkliwie.

Tom pierwszy *życia Dodosińskiego*, należy do najlepszych utworów naszego autora, za to tom drugi nieodpowiada wartości poprzedniego. Nagromadzenie przygód nadzwyczajnych a dokładnie nawet nieobjaśnionych osłabia całość artystyczną; piękne tylko zakończenie i myśl szlachetna zasługują na uwagę.

Wacław staroście (z którym ze szkół uciekł Dodosiński tracąc godność kalafaktora), ów dorodny młodzieniec, po utracie przez ojca ogromnej fortuny, szuka w uczciwej pracy celu życia, a idąc za popędem pierwszej miłości, żeni się z Anielą Dulską córką zagrodowego szlachcica, i wesoło a chętnie orze pługiem urodzajną niwę. Tu go po burzach życia spotyka z podziwieniem Faustyn Dodosiński: plackiem do nóg mu pada, zawsze w nim widząc swego dobrego pana i dobrodzieja.

Ale ten obrazek tak ujmujący, był tylko zaprawdę zacząć myśli autora wypływem. Czegóżby pragnąć można było, gdyby synowie marnotrawnych ojców, po utracie wielkich majątków, brali się do rolniczej pracy, i nie wstydzili się ręki własnej przyłożyć do pługa, jak przed wiekami ich pradziadowie robili.

Dzieje jednakże wewnętrzne, malujące tę naszą społeczność tych czasów, inne nam smutniejsze przedstawiają dowody. Po marnotrawnych ojcach przyszli zniedołężniali synowie, i niepotrzeba było nawet jednego wieku, ażeby razem z ruiną obronnych zamków i rumowiskami przepysznych pałaców, sami przysypani ich gruzami poszli w zapomnienie i nicłość!

Wielec ciekawą i nauczającą byłaby piórem prawdy skróślona monografia naszych magnatów, których tak dobrze dawni ojcowie *Panoszami* nazywali. Wyjaśniłaby nam ona powody ich znikczemnienia i upadku, z którego pewnie się nie podniosą, ażeby mogli, chociaż w drobnej części, dawną powagę i znaczeniem zaświetlić.

Wspomnieliśmy powyżej że uważamy hr. Skarbka za jedno z złotych ogniwi wiążących z sobą wiek XVIII z naszym stuleciem: głównie zaś jest on malarzem czasów *Księżstwa Warszawskiego*, które przechowywały w sobie szczytki z epoki Stanisława

(1) W naszych oczach jeszcze mieliśmy tego smutne przykłady. Pan, którego przodek miał rozgłośne imię za Zygmunta III, sprzedał w Galicyi zamek wybornie zachowany i zamieszkały żydom, obliczając wartość jego na będące w nim marmury, olów i żelazo, nie rachując innych materyałów. Z tegoż rodu pozostali potomkowie, w innej okolicy kraju sprzedali rodzinny pałac wraz z archiwum familijnem, biblioteką, i pamiątkami swoich przodków, a sami wynieśli się z pośpiechem do Paryża.

Augusta, żywą, jęj tradycję, i nadawały silną swoją barwę, nowemu okresowi pierwszych lat Królestwa.

Krasiński w Panu *Podstolim* dał nam wierny obraz obywatela ziemianina upłynionego wieku, na konie rodziny, otoczonego światem wioskowym. W chwili kiedy kreślił tę postać, rozpoczynając część pierwszą w roku 1778, drugą w 1784, ostatnią w roku 1798, cały kraj ulegał rozmaitym zmianom, aż upadł bez imienia. *Podstoli*, to typ tego grona obywatelskiego, co przebyli te zmiany, a charakterystyczne rysy rodowe zachować potrafili pod naciskiem cudzoziemskich obyczajów. Dziś, powieść ta wielkiego pisarza ma wartość historyczną, bo skryształizowała w sobie wizerunki postaci owoczesnych i atmosferę, która ją obwiewała. Też same zalety ma hr. Skarbka *Pan Starosta*: i z głębokim przekonaniem możemy powiedzieć, że gdy się po raz pierwszy ukazała 1826 roku, była jedną z najlepszych powieści polskich, i tej wartości swojej, jak dotąd nie straciła, tak też nigdy nie utraci.

Czeka ona ołówka natchnionego artysty, ażeby godnie potrafił ją illustrować, a nie zabrakłoby mu przedmiotów, do wydawnienia tak scen jak postaci, ożywiających ten znakomity utwór.

Pan Starosta jest to co do głównych rysów charakteru, ze krwi *Podstolego*, ale postawiony w nowych czasach, bo określić je można od 1798 do roku 1807 i lat dalszych. Czasy to były mające więcej życia i ruchu, jak jednostajne dnie *Podstolego* działającego tylko w kółku rodzinnym, i otaczającego sąsiedztwa.

Przy *Panu Staroście*, wiele tu wydatnych figur występuje, jak *Pan Porucznik* rezydent jego, Kasztelanowa siostra pana starosty i jęj córka Walerya: państwo *Drobnicy*, z córką Agatą, jęj konkurent Gwizdzicki z towarzyszymi swymi, Górewicz typ pasożytów, marudera z dworu Stanisława Augusta, i młody August jedna z najszlachetniejszych postaci, godna stać pod rękę z czciogodnym Starostą.

Pani Kasztelanowa wzór dam ubiegłego stulecia, żyjąc marnotrawnie, rozrzucała swoje dochody na zbytki i stroje, w oczekiwaniu na spadek po staroście. Stróżem jego, co pilnował interesów kasztelanowej, chociaż żył łaską starosty, jest pan porucznik, postać niekezemna a liczna jak w ową dobę.

Starosta na polowaniu poznaje młodego Augusta, jest to w całym znaczeniu godny syn nowego wieku, z przymiotami i uczuciami harmonizującymi doskonale z sędziwym ziemianinem. I *Podstoli* Krasińskiego i pan Starosta, chlubiłby się każdy takim potomkiem. Niedziw że go pokochał, i pragnął połączyć ze swą siostrzenicą, a córką kasztelanowej. Ta jednakże niechętna tym zamiarom stawia wszelkie na jakie zdobyć się mogła przeszkody, i dochodzi wreszcie do zamierzonego celu, ażeby oddać swą córkę Górewiczowi. Poświęcała szczęście dziecka, dla swojej fantazyi. Ale czuwał nad biedną Waleryą pan Starosta, i on odkrył jęj miłość dla ukochanego przez siebie Augusta, którego ze łzami i uściskiem pożegnał, gdy odjeżdżał w dalekie strony. Kasztela-

nowa oznaczyła dzień zaręczyn córki z Górewiczem, która teraz wezwwała pomocy swego wuja. Ten zerwał układy matki, wykazawszy niekczemność i podłość Górewicza, który z całą czelnością oświadczył że chciał się żenić jedynie dla spodziewanego spadku po starości.

August w tym czasie, na polu walk zaciętych daremnie szukał śmierci: zdobywał tylko nowe zaszczyty i stopnie. W ostatniej kampanii przeciw Austryakom, kula armatnia urwała mu lewą rękę; jako szef batalionu, z dwoma krzyżami, ale zarazem i inwalid, stanął przed starostą. Ten przygotował spotkanie się Augusta w domu leśniczego z Waleryą, która go już opłakiwała jako zabitego na polu bitwy, przejechał Kasztelanową, i przyspieszył upragniony związek siostrzenicy ze swym młodym przyjacielem, którego zarówno kochał serdecznie jak i szanował.

Od młodych lat wielokrotnie czytając i odczytując tę powieść, w niektórych jej ustępach zawsze czułem głębokie wzruszenie. Kiedym nie tańł tego w poufnej rozmowie z dostojnym autorem, i wskazałem te miejsca, odrzekł mi hr. Skarbek:

— Autor który pragnie wywołać wrażenie, musi sam czuć silnie, kiedy pisze takie ustępy. Pan mówisz, że masz zawsze łzy w oczach czytając ostatnie karty mego pana Starosty, a ja mu się przyznam, że rzewnie sam płakał, kiedym je kreślił, i nie wstydzę się tego wyznać panu otwarcie.

Pamiętniki Seglasy w dwóch także tomach, są niejako dopełnieniem *Pana Starosty*, bo malują czasy też same, i na ich tle się rozwijają. Ta wydatna jednakże pomiędzy temi utworami zachodzi różnica, że gdy pierwszy nie wybiega po za granicę ziemiańskiego życia, *Seglas* lekko tej strony dotknawszy, daje nam większych rozmiarów obraz Warszawy i owoczesnej w niej społecności.

Jakkolwiek tu i tam nasuwały się autorowi ciągle ujemne zarysy tak w charakterach osób, jak i czasów, wśród dusznej dla ogółu atmosfery, pomimo to badał i wyszukiwał i pięknej strony, którymi rad zdołał karty swojej powieści, czy to brane rzeczywiście z życia, czy też wywoływał je ze swój wyobraźni. Czytelnik czuje oburzenie na lekkomyślność, rozwiózłość i maruotrawstwo, ale łagodzi to uczucie przykre, patrząc jak te same postacie podnoszą się ze swego upadku, i umieją stanąć z poświęceniem tam, gdzie ich myśl szlachetna powołała ażeby spełnili swój obowiązek.

Blizko dwadzieścia lat rozdziela *pana Starostę* od napisania *Pamiętników Seglasy*: przeciąg to czasu nie mały w życiu literackim: znać też w tych obu utworach młodzieńczą rękę, i poważniejszego wieku pióro. W pierwszym tryska życie dramatyczne, zapal rozlewa się po każdej stronnicy, nie zawsze hamowany umiarkowaniem myślącego artysty: w drugim znać rękę powściągliwą, która korzystając z przedmiotu, rozgląda się poważnie i żadnego szczegółu nie pomija, mogącego czy dokładniej rzecz przedstawić, czy też charakter osoby odmalować. Rozwaga tu chłodna, daje obszernie pole do uwag moralnych i filozoficznych, ale scen takich jak

w *Panu Staroście*, co wstrząsają sercem, i wywołują gorące uczucia, niemasz w *Pamiętnikach Seglasy*. Myśl do ich napisania podał hr. Skarbkowi pierwszy jego guwerner zaniej pamieci *Chopin*. Szukając zajęcia i chleba *Seglas* obejmuje także obowiązki guwenera w kilku domach, opisuje je jak i swoje własne przygody, aż wreszcie dostaje się do Warszawy, zkad już w roku 1809 wraca do Francji (1). Mniejszych rozmiarów powiastki jak: *Chwila wesołości* i *Historja wielu małżeństw*, są to doskonałe obrazki brane z życia społeczności naszej, ale zawsze jak rzekliśmy, albo z czasów Księstwa Warszawskiego lub pierwszych lat Królestwa.

W pierwszój (*Chwila wesołości*), daje nam autor typ polskiej dziewczicy, która niedając się uwieść pozorami i chwilowój skłonności kobiecej, idzie za prawdziwój uczuciem miłości, wybierając za małżonka przyjaciela lat swoich młodych, ale człowieka godnego jój serca.

Dругa jest mistrzowskiem malowidłem, jakkolwiek smutném, zamętu, który się gęsto pojawiał w zamożniejszych rodzinach naszych, i to *zle*, hr. Skarbek pochwyciwszy z życia, dosadnie oddał. Była to rana bolesna a ciągle jęcząca się na oblizach społeczném, która na szczęście, wpływem zdrowszego powietrza, w następnych latach uleczoną w znacznej części została.

W roku 1861 wydał w Poznaniu *Powiastki Polskie* (2). Jest to dziewięć obrazków obejmujących wspomnienia z ostatnich lat XVIII-go wieku, czasów Księstwa Warszawskiego, i naszego już okresu. Pomiędzy niemi charakterystycznością odznacza się: *Wyprawa Kujawska*, w której śmierć znalazł stryj naszego autora Michał Skarbek; *Hulanka w sądzie*, w niej mamy wyborny obrazek, jak kasztelan Zakrzewski, cały sąd wraz z prezesem, złożony z Prusaków, spaja, przy najgrzeczniejszém obejściu. Inne są z epoki

(1) Ś. p. Anna z Krajewskich Nakwaska, autorka kilku powieści, napisała wielce zajmujący *pamiętnik* ze wspomnień swojego życia, w którym głównie dotyka ostatnich lat XVIII wieku i czasy Księstwa Warszawskiego, w nich bowiem jako małżonka *prefekta*, jaśniała na wyższym świecie. Pamiętnik ten dawała czytać zaufanyszim osobom: czytał go i hr. Skarbek. Po wydaniu pamiętników *Seglasy*, p. Nakwaska robiła zarzuty ich autorowi że korzystał z jój pracy. Zarzut ten jest zupełnie niewłaściwy, bo kilka szczegółów o pani *Fauban*, które są w obu tych utworach, zachowała w najmniejszych nawet drobiazgach żywa tradycja, która do nas nawet doszła. Z tój tradycji o głośnym w swoiój dobie *pałacyku pod Blachą*, napisał udatny obrazek J. I. Kraszewski p. n. *Imieniny*, i umieścił w dziele swojem: „*Wędrowniki literackie, fantastyczne i historyczne*” (Trzy tomy, Wilno 1838 r.) a nie znalazł wcale pamiętników Nakwaskiej, które autorka dopiero zabierała się pisać. Część z tój szacownej pracy, po jój zgonie drukowała *Gazeta Warszawska*.

(2) *Powiastki Polskie*, ozdobione dziesięciu drzeworytami wedle rysunku F. Kostrzewskiego. Poznań, 1861 r. w ósemce.

Księstwa Warszawskiego, jak *Łukasz Stempel*, *Jeniec wojenny*, *Przewołnik*, *Jaszczułt*, *Dwie siostry*. Ostatni pełen rzewności, głębokie wywołując wrażenie, przywodzi na pamięć piękną postać Cypryana Godebskiego. Powiastka, a raczej wspomnienie p. n. *Mundur*, z całą prawdą charakteryzuje starych naszych wiarusów.

Powiastki te pisał i wydał hr. Skarbek, kiedy już jako emeryt w zaciszy domowej oddał się wyłącznie literackim pracom. Wtedy ochoczo dobywał z bogatej skarbnicy wspomnień, różne postacie i wypadki, ażeby je utrwalić w pamięci obecnego pokolenia.

„Každy z nas (mówi w przedmowie do tych powiastek), co przeżył lat kilkadziesiąt między ludźmi, na ziemi własnej i obcej, posłyszał lub widział wiele wypadków i zdarzeń, i znał osoby lub z postępów wielu znakomitych ludzi, już do historii należących, przez nią do wielkiej księgi dziejów, z bezstronną prawdą napisanych. Lecz obok takiego zbioru wypadków i charakterów, zawiera jeszcze pamięć nasza mnóstwo drobnych wspomnień przeszłości, które się jako zajmujące obrazki ciągle przed nami rozwijają, i równie nas cieszą w starości, jak różnobarwne obrazki, któremi się wiek dziecienny cieszyć umie.

„Po żniwie, jakie historia na polu dziejów towarzyskich dokonywa, pozostają ściernia, na których można jeszcze zebrać plon obfity upuszczonych kłosów, które szkoda zostawić w polu, które zebrać warto, aby z nich upleść wianek do gospodarskiego domu po dożynkach przez żniwiarzy przeznaczony.

„I ja uplotłem wianek z kłosów i kwiatów na ojczystém ścierniu zebranych; zachowałem w przybytku pamięci mojej zasuszone listki i ziarna, które lubo dziś pozbawione dawniej świeżości, barwy i woni, przypominają jednak czém były, gdy je ziemia ojczysta wydała, wykarmiła, i do wzrostu doprowadziła.

„Moje obrazki wspomnień współczesnych zdjęte są z natury: zbierałem je w ciągu życia mego od czasu, gdy zaczął rozumieć opowiadania innych i pojmować to, na co się sam patrzyłem. A ten czas był bardzo bogaty w przedmioty, godne uwagi i przedstawienia, nie tylko dla dziejopisarzy, ale i dla tych, co drobném wspomnieniem pragną między ziolkami żywić pamięć przeszłości.”

Ostatnią powieścią do tego działu należącą, jest *Olim*, którą wydał w Berlinie, w tym samym roku kiedy umarł. W kilka miesięcy po jej wyjściu, zakończył pielgrzymkę ziemską. Jakby przeczuwając zgon swój blizki, z pośpiechem ją wykończył, chwytając wspomnienia z wiosny lat swoich, i wprowadzając postacie jakich jeszcze nie dotknął w poprzednich powieściach, a brane z żywych wzorów społeczeńści tamtoczesnej.

Siedmdziesiąt cztery lat wieku hr. Skarbek liczył, kiedy swoje *Olim* pisał, a ogień życia, werwa i zapał młodzieńczy, ten sam wybija jak w *Panu starości*, który w roku 1826 wydał. Ustępy uczuciowe, przy których czytaniu drży serce wzruszeniem nie zwykłym, są z tąż siłą samą skreślone jak w *Panu starości*, gdy go

wykończył zaczynając rok trzydziesty trzeci życia. Przedział tylu lat żadnego wpływu na ten umysł zawsze świeży, zawsze młody, nie podzielał. Nie możemy się powstrzymać od przywiedzenia: „Kilku słów przedmowy,” bo jest to jakby ostatnie pożegnanie sędziwego autora ze swymi czytelnikami.

„W podeszłym wieku (pisze), kiedy się przyszłość zamyka przed nami, pocieszamy się wspomnieniami młodości naszej, tak jak podróżny widząc zapadający zmrok przed sobą, rad jest obejrzeć się na ostatnie blaski zachodzącego słońca, które mu przez cały dzień wędrówki przyświecało.

„Młodzi ludzie dzisiejsi, po przeobrażeniu się naszego życia domowego, nie znają już wcale dawnych obyczajów i zwyczajów naszych, zwłaszcza tych, do których my starzy sięgamy pamięcią. Rozumiałem, że może nie będzie od rzeczy przypomnieć współczesnym moim to, na co patrzeli, i opowiedzieć młodym, jak ich dziady i ojcowie żyli. Będzie to dla tamtych pociechą a dla tych nauką, o ile zarozumiałość i wiara w postęp tych ostatnich, dozwolą im nie potępiać tego, co niegdyś poważanem było.

„Nie idzie tu o naukę wyczerpniętą z dziejów krajowych, ale o wykazanie tego, co niegdyś było prawidłem w życiu domowem, co poczytywano za zaletę a co za wadę, co się godziło, a co nie uchodziło, aby można porównać przeszłość z teraźniejszością i wyprowadzić ztąd wnioski, czy wszystko jest dzisiaj lepsze od tego co było? Czy możemy lekceważyć przodków naszych i szydzić z nich, albo czy też nie grzeszymy, gdy się wyrzekamy wszystkiego, co dawne i swojskie, a bałwochwalczo podziwiamy co nowe i cudzoziemskie? Może też przy tém rozpatrywaniu się w przeszłość, wżmie nas skrucha i powiemy: nasza wina, nasza wielka wina, żeśmy tak odstąpili od dawnych obyczajów i zwyczajów naszych, i że odrzucając co było zdrożnem lub śmiesznem, nie chcieliśmy zachować i uznać tego, co było dobrém.

„Kiedy zamierzyłem kreślić obrazy dawnego, domowego życia, zaczęły się roić po głowie wspomnienia młodych lat moich, a w nich ludzie, miejsca i wypadki z końca ubiegłego i z początku bieżącego stulecia. Przesuwały się one przedemną i chwytalem wrażenia tych wspomnień, aby usnuć z nich powieść, więcej obrazowaniem jak intrygą zajmować mogącą, w której przedstawić chciałem towarzyskie, a mianowicie wiejskie pożycie, przodków dzisiejszego pokolenia.

„Jakkolwiek przywiązany jestem do wszystkiego co dawne i swojskie, nie ulegam téj słabości podeszłego wieku, która każe chwalić wszystko co było, a ganić co jest i będzie. Owszem, może mi kto zarzucić, że szukając wzorów w przeszłości, zbyt otwarcie wykazuję wady, jakie nam przekazała. Ale sądzę, że w powieści obyczajowej, podobnie jak w historii, przedewszystkiem idzie o wypowiedzenie prawdy, a pod tym względem, jeżeli czasy, o których piszę, wiele przedstawiają usterek, to jednak pozostaje z nich wzorem dla potomnych, że ludzie owego czasu, żyli własnem ży-

ciem, że się bronili od wynarodowienia obyczajowego, i że szanowali węzły i obowiązki obywatelskie.

„Może mi kto zarzuci używanie wyrazów i sposobu mówienia, które dzisiejsi puryści za pewien rodzaj *makaronizmu* uważać będą, ale sądzę, że kto o dawnych czasach pisze, to i dawnym językiem mówić winien, boby popełnił anachronizm, używając wyrażań dziś dopiero wymyślonych.”

Olim jest powieścią obyczajową, ale na tle historycznym rozwiniętą, z nie małym życiem dramatycznym. Obejmuje okres ulubiony autorowi, czasy tak zwane *pruskie* i Księstwa Warszawskiego. W wielu ustępach jak np. w rozdziale pierwszym p. n. *Ludzie owego czasu*, jest malowidło tak dokładne i zgodne z prawdą, we wszystkich szczegółach, że poważny historyk może go użyć za źródłową wskazówkę, badając ten okres. Sceny przenoszą się z wiejskich siedzib do Warszawy, na przemiany przedstawiając w dobitnej charakterystyce, tak rodziny ziemiańskie, jak mieszkańców starego grodu, który opuszczony i do upadku pochylony, nagle zawrzał nowym życiem. Główną treść do swjej powieści wzięła hr. Skarbek z własnej rodzinnej kroniki przystrajając ją w barwę artystyczną.

IV.

Nie brakło nam prawdziwych humorystów w dalekiej przeszłości, którzy wybornymi byli przedstawicielami dowcipu i humoru, jak je pojmowała dawna społeczność.

Wśród prostoty obyczajów, szczerości myśli i uczuć, humor ten rodziny objawiał się często rubasznie, a nawet w takiej nieraz formie, że dziś powtórzyć tego niepodobna, w gronie dobrańszego towarzystwa. Ale kiedy cofniemy się o cztery wieki w górę, i spojrzymy na wydatne postacie Mikołaja *Reja*, dworzanina *Smolika* i ową żyjącą zjadliwą satyrę przyodzianą w pstre szaty nadwornego Zygmunta trefnisia *Stanczyka*, na ich wzięcie i popularność tak wielką, że aż poważni kronikarze zapisywali w swych księgach dla pamięci ich dowcipy i dykteryjki, zrozumiemy dopiero on stary *humor*, tak różny od dzisiejszych pojęć, jak nasze zwyczaje i obyczaje od tamtej epoki.

Krasiński jest reprezentantem nowych idei: humor a dowcip narodowy, jaśnieje u niego w godowe szaty przyzwoitości przybrany, jakkolwiek nie pozbawiony cechy domowej.

Na progu obecnego stulecia, staje wydatna postać *Alojzego Żółkowskiego* pierwszego komika teatru narodowego i jednego z wybornych humorystów, który połączył w sobie i rubaszność nieraz starą, i dowcip w nowoczesnej formie. Ale znaczna część jego myśli, bystrych spostrzeżeń i błyskawic dowcipu, jest już dla dzisiejszego pokolenia bez znaczenia, i straciły swą wartość, gdyż

były wypływem chwilowych wypadków i okoliczności, które we właściwym czasie i to na krótko miały wartość i wziętość. Dziś *Pot-Pourri* jego i *Momus* potrzebują obszernych komentarzy i objaśnień, nieraz historycznych, gdyż na pole dziejowych zdarzeń rad on nieraz wybiegał. Co pozostało największą zasługą Żółkowskiego, to ukazanie bogactwa języka macierzystego, w owych *kalemburach*, którymi pobił zwycięzko zwolenników zapalonych francuzczyzn, skarżących się na ubóstwo własnej mowy.

Ostatnim na tém polu, był nieporównany w całym znaczeniu tego wyrazu humorysta *August Wilkoński*, który *Ramotkami* swymi, zasłużony rozgłos od pierwszego wystąpienia swego pozyskał.

Wierny spadkobierca starych *Jowialistów*, nieraz odświeżał ich rubaszność, chociaż starannie osłonioną szatą dzisiejszej przyzwoitości.

Szerokim pędzlem i w większych rozmiarach jak Żółkowski kreślił swoje utwory, dotykając wybitniejszych grzechów społeczności naszej. Stoi oddzielnie na samodzielniém stanowisku, to Rejowski humor przypominając, to chwilowo odblask satyr Krasickiego, lub surowy sarkazm Naruszewicza, albo dowcip naszego stulecia. Wszystko to spaja w harmonijną całość *Ramotek*, które pozostaną trwałym pomnikiem w tej gałęzi literatury naszej, wraz z krystalizowauemi w nich naszej społeczności myślami, dążnościami i postaciami.

Hr. Skarbek zawód powieścio-pisarza rozpoczął od humorystycznych powieści, a najpierwszym w tym rodzaju utworem jest *Pan Antoni*. Jakkolwiek w swém *przedmowie* daje poznać, że pragnąłby naśladować angielskiego humorystę *Sterna*, przedmiot sam czy-sto rodzimy, nie pokazuje bynajmniej ślepego naśladownictwa.

Pan Antoni jednak zamożnego szlachcica, po ukończeniu ówczesnej edukacyi, powierzchownej i płytkiej, osiadł przy rodzicach bez stałego zajęcia, zabija czas jak może, i na polowaniu przypadkiem zdybuje piękną Marysię córkę ekonoma dóbr ojcowskich, która obudza w nim pierwsze uczucie miłości.

Kiedy dochodził już pełnoletności, tak ojciec jak matka postanawiają go ożenić z panną posażną i w tym celu dawszy mu kilkanaście tysięcy, wysyłają do Warszawy, ażeby sprawił sobie kocz i konie. Pan Antoni dostawszy się w ręce ukochanych kolegów, przegrywa pieniądze i przed dłużnikami piechotą z Warszawy uciekać myśli. Łatwo od rodziców otrzymuje przebaczenie swoich błędów, żeni się, ale gdy w bezrządzie gospodarskim fortuna zmalała, energiczna małżonka, na poczet swego posagu, zabiera mu wieś ojcowską, i wypędza z rodzinnego gniazda. Pan Antoni zubożony, bez celu życia, opuszcza ojczyste strony.

W karczmie przydrożnej, gdzie spocząć zmordowanym koniom przystanął, znajduje ową piękną *Marysię*, cel pierwszych uczuć serca, jako wdowę i gospodynią tej karczmy. Dawna miłość odżywia się w oboju: pan Antoni pragnie się z nią połączyć: zda-

rza się szczęśliwa sposobność nabycia poczty w témże miasteczku. Otrzymałszy od zawsze dorodnej Marysi potrzebny zasilek przybywa do naszego autora z prośbą o poparcie w tych zamysłach, który ohotnie przyjmuje na siebie wszelkie ku temu starania.

Na tém kończy się powieść.

Podróż bez celu (w dwóch tomach), w tymże roku 1824 co i *Pan Antoni* wydana jest z natchnienia *Sterna podróży sentymentalnej* napisana. Sam hr. Skarbek przyznaje się do tego.

— Cel podróży mojej (pisze), podobny do *Yoryka*, tém się tylko w całej mojej wędrówce zajmuję, co do czucia mego przemawia; że nie otwieram ani ust ani oczu żeby się nad arcydziełem człowieka zdumiewać, lub po murach i papierach pomników niedorzeczności i złości jego szukać: lecz że w ludziach i w otaczającej ich naturze, chce śledzić tych znamion piękności, któremi Stwórca wszystkie dzieła swoje naznaczył, i pokrzepiać umysł widokiem dobrego i pięknego.

Jeżeli *Pan Antoni*, mało ma żywiołu humorystycznego, bo tak tło całe, jak postać bohatera i świat go otaczający, nie mogły dać pola po temu, za to *Podróż bez celu*, pokazuje tego żywiołu więcej, szczególnież téż w osobie służącego *Pawła*, który w niej niepoślednią odgrywa rolę (1).

Autor prawdziwie *bez celu* wyjeżdża za granicę, niezbyt nawet daleko, bo zwiedza głównie stary Szlązk tylko. Zakochany w po-

(1) Wyborna to postać, typ owych sług, których już nie zobaczymy, bo wyginęli do szczytu.

Przywiązany do swego pana, lubiący gęsto czuprynę zalać, przy powierzchni głupocie, sprytny i z rozumem *chłopskim*, wydatnie się odbija, kiedy dostał się pomiędzy Niemców. Przywiedziemy tu opowiadanie samegoż *Pawła*, kiedy zaaresztowany został i przyprowadzony do autora *Podróży bez celu* pod strażą, w towarzystwie dwóch rzemieślników.

Hrabia, pan jego, pyta czy się upił czy zmysły stracił wdając się między dwie osoby zupełnie jemu obce, które się z sobą a nie z nim kłóciły. *Paweł* z całą szczerością, w prostocie ducha odpowiada:

— Nie! ja dziś i kieliszka wódki nie piłem, ale i panby był zrobił co ja, gdyby pan patrzył na tych dwóch Niemców. Widząc że panu się dzisiaj z rana na długie spanie zabierało, wyszedłem trochę na miasto. Wtém spostrzegam przed dwoma domami kupy dzieci i kobiet, a między niemi tych dwóch blaznów, którzy się z sobą kłócili. Jeden drugiemu wymyślał od ostatnich, pluli sobie w oczy, przyskakiwali do siebie, oba mieli kije w rękę, a żaden z nich ani go nawet nie podniósł. To mnie zniescierpliwilo, nie mogłem dłużej patrzeć na tych głupców, którzy mając kije w rękę, nie wiedzieli co z niemi robić? Przyskoczyłem do jednego. wyrwałem mu kij, dałem mu raz po plecach aż odskoczył; palnąłem potem drugiego, który mi nie oddał, chociaż miał kij w rękę. Powstał krzyk kobiet i dzieci, mieli mnie za szalonego. Przyszła policya, i przyprowadzili mnie tutaj, za co? Żem ich rozumu nauczył i żem ich pogodził!

wabnej Emilii, która innemu oddała swą rękę, chce przerwać nudę życia, ukoić ranę serca i zobaczyć świat nowy.

W drodze spotyka trupę aktorów prowincjonalnych, i wybornie ich maluje, gdy przygotowują się do widowiska w małym naszym miasteczku. Przebywszy granicę, spotyka piękną nieznaną, za którą goni, zbliża się, rozpoczyna romans w obec męża smakosza a znudzonego podróży, i w końcu w chacie ubóstwa spotyka ową Emilię, która owdowiawszy, przyrzeka autorowi *Podróż bez celu* być towarzyszką życia. Znajduje więc cel w przyszłości, wbrew tytułu swjej powieści.

Wiele tu znajdujemy ustępów zajmujących i trafnych, nacechowanych głębszym poglądem, jak rozdział z nadpisem: *Ziomkowie i cudzoziemcy*. Są i pełne żywego uczucia i wzruszające, jak: *Polskie tańce, Powieść Ernestyny, Odwiedziny cmentarza w Lignicy*.

Chociaż to *podróż bez celu*, widzimy jęj autora troskliwie zwiedzającego *Instytut ociemniałych* w Wrocławiu, pod kierunkiem niewidomego od urodzenia profesora *Knic*, autora dzieła: „O sposobie nauczania ślepych”. Już tego rodzaju zakłady filantropijne uwagę hr. Skarbka zajmowały, na wiele lat wprzód, zanim na tém polu rozwinął w kraju własnym swoją działalność.

Do rzędu utworów humorystycznych, należą: *Małe przyjemności pożyicia*. Autor patrząc na przedmioty na oko prozaiczne, otacza każdy aureolą poetyczną wspomnień swoich, i wykazuje o ile do umilenia życia człowieka mogą się przyłożyć.

Tak *stół familijny, święta* w gronie rodzinném, *kominek* w zimie, promień słońca wiosenny, szara godzina do zadumki, powrót do domu z podróży, wszystko stanowi wątek do trafnych uwag, filozoficznych myśli, i pokazania, że kto umie patrzeć na życie, w najdrobniejszych jego szczegółach, może dopatrzeć prawdziwych przyjemności, dla innych niewidzialnych.

Tytuł książki powinien mieć napis *Małe przyjemności życia* a nie *pożyicia*, bo autor znajduje je i w samotności siedząc w ciichym i ciepłym pokoju wśród wichury zimnej jesieni, albo przy płomieniu kominka w zamieć śnieżną, lub słuchając w pogodną wiosnę lotnych śpiewaków bożych na zielonych niwach, lub w lasach rozmajonych (1).

W utworach tych mało jest pierwiastku humorystycznego. Są w nich zdrowe, piękne i szlachetne myśli, jest wiele uczucia prawdziwego i rzetelności, ale rzadko dopatrzeć możemy żywiołu naszych humorystów.

(1) Do tego działu wliczyć należy drobne utwory humorystyczne, które Fr. hr. Skarbek wydał w zbiorze powieści swoich p. n. *Sanszopansiana*. Każdy wysnuty jest z krajowego przysłowia jak: *Co głowa to rozum*, „Prosta droga najkrótsza” i „Podług stawu grobla.” Utwory te razem tu drukowane, były pojedynczo umieszczone w *Pamiętniku Warszawskim*, który hr. Skarbek redagował z Kazimierzem Brodzińskim i Skrodzkim profesorem ówczesnego Uniwersytetu Warszawskiego.

Krytyka współczesna przy pierwszym ich wyjściu z pod prasy, ostro przeciw autorowi wystąpiła, uderzając głównie na *Pana Antoniego*: autor téż, czy zrażony jój grotami, czyli sam poczuł słabą prac swoich stronę, zeszedł z téj drogi, i już więcej na nią nie wrócił, poważniejszym oddany zajęciom.

V.

Kiedy przeważała już szala w walce klasyków z romantykami, na stronę ostatnich, sława powieściopisarza szkockiego, rozszerzona po całej Europie, musiała znaleźć i u nas swój rozgłos.

Zaczęto te utwory przekładać i chciwie czytać. F. S. Dmochowski, który ma zasługę rzeczywistą, że przeważnie wpływał przez lat wiele na rozszerzenie koła czytelników polskich, zaczął wydawnictwo tłumaczeń Walter Scotta, i znalazł jak na owe czasy, świetne powodzenie.

Jeszcze nie dotknął uroczém swoim piórem A. E. Odyniec poematów jego, gdy Karol z Kalinówki, pierwszy wzorowo z oryginału przełożył, wielkiego poety Szkocyi utwór *Pani Jeziora* (1).

Wpływ Walter-Scotta stał się w owéj dobie u nas przeważnym, i wywołać musiał wielu naśladowców.

Poważni klasycy zapominając sporów z romantykami, zaczęli pisać historyczne powieści. Z ich grona znakomity swoich czasów dramaturg *Franciszek Wężyk*, wydał powieść z dziejów polskich, naśladowując formę Walter-Scottową.

Zygmunt Krasiński w pierwszych próbach genialnego pióra z przyjaciółmi swymi *Dominikiem Magnuszewskim* i *Konstantym Gaszyńskim*, we trzech tomach drukuje *Władysława Hermana i dwór jego*. Sam Gaszyński ogłasza *Dwoch Szreniawitów*. W pośrodku tego chóru naśladowców, wydatnieją więcej talentem i samo-

(1) *Pani Jeziora* poema Walter Skotta. Tłomaczone z angielskiego przez Karola z Kalinówki. W Warszawie nakładem N. Glücksberga, 1822, dwa tomy.

Przekład ten dokonany prozą, miejscami tylko wierszami przez Karola Sienkiewicza, w czasach w których wyszedł, liczył się do osobliwych zjawisk w literaturze naszej. Najprzód tłumaczenie było wprost z oryginału, a nie z przekładów francuzkich; wiersz jak proza mistrzowskim językiem oddane sprawiły, że wkrótce całe wydanie rozebrano, i dziś należy do rzadkości bibliograficznych.

W szesnastu lat później, A. E. Odyniec wytłumaczył cały ten poemat wierszem p. n. *Dziewica z Jeziora*, i wydał drukiem w zbiorze swoich przekładów: „*Tłumaczenia Antoniego Edwarda Odynica*, Lipsk, 1838. (Całe wydanie składa się z sześciu tomów). Nie potrzebujemy tu nawet napomynać o wartości tego przekładu, sąd ogółu i krytyka, oddały hołd należny téj pracy.

dzielnoscią J. U. Niemcewicz *Janem z Tęczyna*, F. Bernartowicz *Pojatą*, i Klementyna Tańska *Dziennikiem Franciszki Krasieńskiej*.

Hr. Skarbek, w tym tak żywym ogólnym ruchu, musiał wziąć udział: zabrał się żwawo i z zapałem, i napisał dwie trzy tomowe powieści, *Tarło* i *Damian Ruszczyć*: pierwsza z czasów Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego, druga z epoki Jana III-go. Obiedwie zaledwie zasługują na wspomnienie, w spisie bibliograficznym pism Skarbka.

Utwory te tak słabe, tak dalekie od prawdy, czy w malowidle czasów, czy też wywołanych postaci do działania, że nawet nie zasługują na poważny rozbiór krytyki. I dziwić się musimy, że ten sam autor, który tak po mistrzowsku w *Fanu staroście*, *Pamiętnikach Seglasy*, *Powiatkach polskich* i w *Olim*, odmalował lata ostatnie zeszłego stulecia, i czasy Księztwa Warszawskiego, tak nieudolnie, i wbrew pojęciom dziejowym, dwa te okresy, pełne gwaru, życia, i barwy nawet poetycznej, dotykał lekkim piórem.

Dział powieści historycznych jest nie mały w naszej literaturze, nie mówimy tu o późniejszych autorach jak H. Rzewuski, Chodźko, Kaczkowski, M. Grabowski, i Kajetan Sufczyński, którzy gałęź tę literatury tak świetnie ubogacili: ale zwrócić uwagę musimy na to, że Skarbek miał piękne wzory w krajowym piśmiennictwie historycznych powieści.

J. U. Niemcewicz, wydawca *Pamiętników o dawnej Polsce*, znający dobrze ojczyste dzieje i literaturę, poświęcił długie studia zanim wziął się do napisania *Jana z Tęczyna*: a miał jeszcze bogate potem zasoby, i utorowaną drogę poematem *Jana Kochanowskiego*.

Bernartowicz, korzystając z wydałych rękopismów Adama Naruszewicza, które stanowią jego tom pierwszy *Historii narodu polskiego* (oprócz wielu innych źródeł), jakkolwiek naśladował *Iwanhoe'go* Walter-Scotta, w *Pojacie* wyszedł zwycięzko ze swego zadania.

Nie wahamy się kłaść obok powyższych utworów, *Dziennik Franciszki Krasieńskiej*, Klementyny Tańskiej, a nawet pod względem artystycznego wykończenia i prawdy w kolorycie i charakterach osób, najwyższą ją postawić; ale znakomitą autorce przyszła w pomoc ciepła jeszcze tradycja tej doby, we wspomnieniach żyjących osób, to spokrewnionych, to znających bliżej działające w niej postacie.

Teraz pokazała się nieoceniona wartość tej tradycji, która dała *Soplicę*, *Obrazy literackie*, *Hulaj polską stannicę*, i *Rodzinną konfederatów*. Ona to dała ośnowę, prawdę i koloryt tym arcydziełom, które jak złote ziarna, w pośród pośladków połyskują.

Studjum szczegółowe nad działem powieści historycznych w naszej literaturze, byłoby wielce zajmującym: wykazałoby, że największy talent, nie oparty na żywej tradycji, podjąć nie potrafi trudnemu zadaniu, w malowaniu przeszłości wiernie i zgodnie z prawdą.

Mamy tego wymowny przykład i w samym Skarbku. Powieści jego z XVIII i początku naszego wieku, już dziś są wybornemi obrazami historycznemi, bo autor, lub sam znał postacie wywołane na scenę, lub mu je w żywych portretach tradycja podała. Gdzie ona umilkła i nie poparła, tam podobnie wątki i niedołężne postacie, jak *Tarło* i *Damian Ruszczyce*, musiały wyjść z pod pióra tak wprawnego.

Nie widzimy potrzeby dawać tych powieści treści, i nużyć czytelnika opowiadaniem szczegółów niefortunných pomysłów naszego autora.

Tarłę, przypisał znanemu badaczowi dziejów i starożytności polskich Łukaszowi Gołębiowskiemu. W tym liście, służącym za przedmowę, czytamy.

„Historycy nie lubią romansów, a zwłaszcza historycznych; surowe ich oko natrafia w nich nieustannie na jaki anachronizm, na przestoczenie zdarzenia, na przypisywanie czynów znanych takim osobom, które o nich nigdy nie myślały. Gniewają się oni nieraz za to, że w takich powieściach występują na scenę znaczenia, jakieś figury zupełnie im nieznane, a znajome, zawsze więcej działają i mówią, jak o ich postępkach i mowach najbieglejsi historycy wiedzą. Przy wszystkich tych zmyśleniach, jest wszelakoż, a przynajmniej być powinno, wiele prawdy w historycznym romansie. Dowiódł tego sławny *Anonim* angielski (Walter Scott), że można w tego rodzaju powieści zachować prawdę obyczajów wieku, charakteru osób znanych, opisu miejscowości, i wystawienia scen porzycia ludzkiego. Do téj prawdy zmierzać winien autor romansu historycznego: i ja chciałem ją zachować.”

Niestety! była to tylko obietnica złudna, której spełnienie przeszło siły autora.

Daléj wylicza źródła historyczne, jakich używał w pomoc do swéj powieści (1).

Damiana Ruszczyca przypisał Kazimierzowi Brodzińskiemu, z którym łączyły Skarbka ściślejsze związki przyjaźni.

Zbiór wszystkich powieści pisanych do roku 1839, wydał sam autor za życia swego w Wrocławiu 1840, nakładem Zygmunta Schlettera w siedmiu tomach. Mieszczą się tu: Tom I) *Tarło* po wieść z dziejów polskich (trzy części); Tom II) *Damian Ruszczyce* powieść z czasów Jana III-go (w trzech częściach); Tom III) *Pan starosta* (w dwóch częściach), *Chwila wesołości*, powieści obyczajowe.

(1) Do najmniej szczęśliwych pomysłów w *Tarle*, jest scena w której autor przedstawia swego bohatera, stojącego pod lipą, w zebraczym odzieniu, i przy wtórce bandurki śpiewającą piosenkę. Pieśni te (Tom 3-ci Rozdział XIII), na prośbę Skarbka, napisał jak wycytujemy na wstępie: „młody poeta, którego ukraińskie dumy powszechną znalazły wziętość i piękną wyższego powołania są zapowiedzią.” Młodym owym poetą był J. B. Zaleski.

we; Tom IV) Powieści i pisma humorystyczne. *Życie i przypadki Faustyna Felixa Dodosińskiego*, *Historja wielu małżeństw*; Tom V) *Pan Antoni*, *Podróż bez celu* (w dwóch częściach); Tom VI) *Małe przyjemności pożycia*, *Narzucona i odebrana*, *Sanszopansiana*; Tom VII) *Pamiętniki Seglasy*, drugie wydanie (w dwóch częściach). Pamiętniki te najprzód drukowane były w *Bibliotece Warszawskiej*, w siedm lat po wydaniu sześciu pierwszych tomów ogłoszone zostały w roku 1847, i włączone do powyższego zbioru, jako tom siódmy.

Z tych są przetłumaczone na język francuzki: *Tarło*, przez panią Melanią Waldor (Paryż, 1834 r.), na język niemiecki: p. Edward v. Lossów, przełożył *Pana starostę*, i *Podróż bez celu* (Berlin, 1845 r.), a p. Antoni Mauritius tłumaczył *Dodosińskiego*, i wydał w Berlinie 1844 roku.

VI.

Kończąc nasze sprawozdanie o utworach hr. Skarbka z literatury pięknej, nie możemy pominąć jego młodzieńczej i najpierwszej pracy, przekładu z oryginału greckiego pieśni *Anakreona*. Ogłosił ją drukiem 1816 roku, i przypisał Samuelowi Lindemu, jako wdzięczny uczeń, gdyż pod jego sterem w Liceum Warszawskiém ukończył nauki (1).

Jan Kochanowski tłumaczył niektóre pieśni tego wesołego a serdecznego śpiewaka starożytniej Hellady, gdy jaśniała w całym blasku. Po nim Adam Naruszewicz w ozdobnej edycji 1774 roku, w Warszawie przekład całkowity *Anakreona* wydał. W czterdzieści dwa lata Skarbek gruntownie znający język grecki, swoje tłumaczenie ogłosił.

(1) Pieśni *Anakreona*. Tłumaczenie Fr. hr. Skarbka. W Warszawie 1816. W drukarni Wiktora Dąbrowskiego. (W 12-cie, str. 72). Przywiedziemy tu przypisanie tej pracy:

„Samuelowi Bogumiłowi Lindemu, autorowi wiekopomnego *Słownika Języka Polskiego*, uczeń i przyjaciel dzieło przypisuje.

Prześtanie dziełka.

DO GOŁĄBK A.

Gołąbku śnieżno biały,
Zatrzymaj lot swój śmiały;
Wypełnij proźby moje,
Ja wszystko ci nagrodzę,
Nakarmię i napoję.
Weź z sobą w dzień po drodze,
Tych pieśni rząd nie długi,

Za ciężkie było pióro Naruszewicza, nie otrząśnięte z pleśni jezuickiej napuszystości, do oddania pieśni lekkich, poświęconych miłości i pobulance radosnej z puharem smacznego wina w rękę.

Nie wiemy co mogło skłonić poważnego pisarza, że się wziął do tak niewdzięcznego dla siebie zadania. Tu trzeba było znajomości światowego życia, i poczucia uderzenia młodej krwi gorącej. Sam Anakreon wybornie się maluje w pieśni:

DO SIEBIE.

Gdy się napiję wina,
Umysł rozweselony
Z muzami śpiewy wszczyną,
I miłe głosi tony.

Gdy słodki piję trunek,
Ucieka mój frasunek;
A myśl co mózg turbuje,
Z powiewem ulatuje.

Gdy sobie piję wino,
Bachu! swobód przyczyno:
Twój sok mój umysł koi,
Gdy wiosna w kwiat się stroi.

Gdy wino mam do picia,
Wieńcami zdobiąc włosy.
Spokojność tego życia
Tkliwemi śpiewam głosy.

Które bard Tejski śpiewał!
On też do swój posługi
Gołąbki skore miewał.
Gdzie Wisła szybko płynie,
Polecisz więc wesolo;
Mąż tam z nauki słyńcie,
Laur świeży wieńczy czoło.
Latwo się o nim dowiesz
Gdy imię jego powiesz.
Do niego poleć śmiecie,
Osiądź na jego dziele,
Potrzepocz się skrzydłami,
Wypełnij me zlecenie,
I skończ temi słowami:
„Wdzięczność i uwielbienie.”

Gdy troski gubię w winie,
I wonią się oblewam,
Przy lubej mój dziewczynie,
Czarowną Wenus śpiewam.

Gdy winem się uraczę,
A umysł mój strapiony,
W kielichu utopiony:
Wesoło wtedy skaczę.

Gdy sobie piję wino.
Zysk z tego dla mnie ino;
Bo niēm uciezam duszę,
Wszak potem umrzeć muszę.

(Tłumaczenie Fr. Skarbka)

Naruszewicz przekładowi swemu daje napis:

„*Anakreona pieśni wybrane.*”

Bentkowski, w *Historji Literatury Polskiej* mówi, że to jest przekład całkowity Anakreona. Liczba ich pięćdziesiąt dwie pieśni wynosi, Skarbek tylko czterdzieści trzy podaje.

W przedmowie przyznaje, iż do tłumaczenia Anakreona, miarowym i rymowym wierszem, zachęcony został przez S. B. Lindego.

„Podając to nowe tłumaczenie wesołego poety greckiego, dwa głównie zamiary miałem: pierwszy, okazać słownem ile możności mojej tłumaczeniem, iż przyjemna prostota i przystojna wesołość są istotnemi cechami pieśni Tejskiego rymotwórcy, i drugi, pokusić się wydać w naszym języku harmonią wierszy greckich.”

Więcej jak pół wieku, bo pięćdziesiąt pięć lat upływa; od ogłoszenia tego przekładu drukiem: pomimo to, dziś go czytamy z całą przyjemnością, jakkolwiek czasami razi mniej wyrobiony poetyczny język.

Niedziwota! artystyczna forma wiersza stanęła wysoko, i wy-magania nasze są też donioślejsze. Teraz, co do budowy jego. harmonji, i dźwięku ojczyściej mowy jesteśmy smakoszami, wy-bredniejszymi daleko od *Smakosza* Fredry.

Pomimo usterek, jakie krytyka wykazać może, zawsze prze-kład *Anakreona* Skarbka. jest najlepszym z dotychczasowych w li-teraturze naszej.

(Dokończenie nastąpi).